

...Ogromną rolę zarówno w życiu szkoły jak bardzo wielu jej uczniów odgrywała w Rejtanie drużyna harcerska. Słynna „Czarna Jedyńska”. Jedyńska dlatego, że nosiła numer jeden spośród wszystkich warszawskich drużyn. A czarna – bo nosiliśmy czarne chusty. A dlaczego słynna? Bo „Czarna Jedyńska” była legendą harcerstwa polskiego. Powstała jeszcze przed wojną w roku 1911. Po 1956 roku powoli odbudowywała się korzystając z tradycji przedwojennych. Gdy wstąpiłem do niej, była to już w pełni sprawna organizacja skautowska z mocnymi elementami etycznymi. Zasadzały się one na oporze wobec polityki socjalistycznych władz. Dzięki wsparciu całego grona pedagogicznego z dyrektorem Wojciechowskim na czele, Jedyńska mogła spokojnie działać.

Chyba w 1960 roku zapisałem się do harcerstwa. Do Czarnej Jedyńskiej. To był jeden z przyjemniejszych aspektów nauki w liceum Rejtana. W tej drużynie uprawialiśmy prawdziwy skauting. Braliśmy udział w rozmaitych grach na terenie całej Warszawy razem z innymi drużynami. Czarna chusta na mundurku budziła szacunek u kolegów z innych szkół. To był wyznacznik pewnego poziomu. W szkole mieliśmy tzw. harcówkę, czyli dwa pomieszczenia, w których spotykaliśmy się aby omawiać plany na wakacje czy kolejne wypadki za miasto. Na tych spotkaniach uprawialiśmy często „sabotaż” polegający na nauce prawdziwej historii Polski, w odróżnieniu od tej oficjalnej, nauczanej z musu w szkole. Przypomnijmy, że był to okres rządów Władysława Gomułki, jako pierwszego sekretarza PZPR. Można powiedzieć czas rozkwitu komunistycznej indoktrynacji opartej na zakłamaniu historii i gloryfikowaniu Związku Radzieckiego. Polacy słuchali tylko dwóch programów Polskiego Radia, oglądali tylko jeden program czarno-białej telewizji i czytali tylko kilka gazet. Wszystkie te media były skrupulatnie kontrolowane przez Urząd Kontroli Prasy i Wydawnictw mieszczący się przy ul. Mysiej w Warszawie a potocznie zwany „cenzurą”. Więc rząd i partia kompletnie pozbawiona krytyki opozycji mogła narodowi wmawiać co tylko chciała. I tak robiła. Nasza „Czarna Jedyńska” skutecznie z tym walczyła. Na zbiórkach omawialiśmy informacje i lektury, które w normalnym obiegu historyczno-kulturalnym nie miały prawa się ukazywać, lub były tylko tzw. białymi krukami. Tu uczyliśmy się piosenek z Powstania Warszawskiego, tu poznawaliśmy jego bohaterów. Tu poznawaliśmy prawdziwą historię Armii Krajowej, do której przecież należeli nasi rodzice, a która przez komunistów określana była jako banda zdrajców Polski. Chodziliśmy na Cmentarz Powązkowski, gdzie na grobach poległych powstańców paliliśmy znicze i kładliśmy kwiaty. Mówiąc górnolotnie, kultywowaliśmy pamięć o tych, o których władze chciałyby jak najszybciej zapomnieć. Myślę teraz, jakim prawdziwym cudem był fakt, iż na tyłu chłopaków w naszej drużynie nie znalazł się żaden, który by o tych naszych spotkaniach doniósł do Służby Bezpieczeństwa. A jeśli nawet ktoś, kogo ojciec czy matka pracowali w instytucjach partyjnych, wiedział od swojego syna o tych zbiórkach, to milczał. Pewnie uznawał, że wyższą wartością jest poznanie przez syna prawdy niż partyjna zasługa wynikająca z doniesienia do SB. To było także „dwójmyślenie” o którym już pisałem. Ten

sposób bycia znany był i stosowany przez wielu dygnitarzy partii komunistycznej. W szkole dodatkową opieką otaczał nas dyrektor Wojciechowski. On musiał o wszystkim wiedzieć i jak przypuszczam, często korzystał ze swoich kontaktów aby nas chronić.

Z „Czarną Jedyneką” byłem na trzech letnich obozach. Wtedy poznałem Mazury.

Była wówczas taka operacja harcerska w części chorągwi w całym kraju nazywająca się „Akcja Warmia i Mazury”. Harcerze biorący w niej udział mieli naszyty na lewym rękawie munduru okrągły znak tej akcji. Generalnie chodziło o to, żeby w 15 lat po wojnie zaznaczyć obecność Polski na terenie Warmii i Mazur. Tereny te, tak naprawdę, do naszego kraju należały przez bardzo krótki okres w historii. Przed wojną była to III Rzesza a jeszcze przedtem Prusy. Otrzymaliśmy te ziemie – podobnie jak Dolny Śląsk, Pomorze Zachodnie - w zamian za tereny położone na wschód od Bugu zabrane przez Związek Radziecki na mocy porozumień zwycięskich mocarstw w Jałcie w 1945 roku.

Tak więc, drużyny biorące udział w tej operacji organizowały corocznie letnie obozy na terenach warmińsko-mazurskich.

Mazury!... Mazury wówczas, to zupełnie inny świat niż te dzisiejsze. Przed wojną i w jej czasie były to tereny zamieszkane przez rdzennych Niemców oraz obywateli niemieckich, którzy jednak przyznawali się do polskiego pochodzenia. Najczęściej pochodzili z Mazowsza a ściślej z terenów Kurpiowszczyzny. To dość normalna sytuacja na terenach przygranicznych, gdzie ludność jest w pewien sposób wymieszana, już to z powodów wspólnych ślubów, dzieci, już to z racji przesuwania się granic. Po wojnie nazwano ich autochtonami. Była to nazwa dla tych ludzi obraźliwa, bo w istocie czuli się Polakami pomimo, że oficjalnie porozumiewali się w języku niemieckim. Jednak często w domach rozmawiano również po polsku lub gwarą kurpiowską. W czasie wielkiej ucieczki przed nacierającą Armią Radziecką Niemcy oraz część tzw. autochtonów opuściła swoje siedziby i przeniosła się na zachód do Rzeszy. Jednak duża grupa owych ludzi, o silniejszych związkach emocjonalnych z Polską pozostała, licząc, że ich przywiązanie do prawdziwej ojczyzny zostanie docenione. Bardzo się zawiedli. Stalinowska machina propagandowa nie odróżniała takich niuansów jak etniczne pochodzenie. Dla Rosjan i komunistycznych polskich władz byli oni po prostu Niemcami. I tak, w latach 1946 – 1955 wielu z autochtonów zostało wywiezionych na Syberię, wielu potraktowano jak jeńców wojennych. Prześladowania tych ludzi były powszechne i bardzo dotkliwe. Dopiero po śmierci Stalina i tzw. odwilży październikowej w roku 1956, władze zorientowały się jaki popełniono błąd. Dopiero wówczas zaczęło się docenianie postawy owych Mazurów, którzy swoją polskość przenieśli przez czasy, gdy byli poddanymi Prus, Niemców a na koniec polskiej stalinowskiej władzy. Stąd między innym pomysł harcerskiej „Akcji Warmia i Mazury”.

W roku 1962, gdy pierwszy raz tam pojechałem na obóz, był to niemal Dzikie Zachód. Opuszczone wioski, które zaczynał porastać las, puszcza ciągnąca się bez końca, ani śladu ludzkiej obecności. Jakieś samotne siedliska oddalone od miasteczek o kilometry.

Można było wędrować cały dzień i nie spotkać człowieka. Ale ten krajobraz tak dziki, tak inny od tego do czego przywykłem na co dzień, robił ogromne wrażenie. To była miłość od pierwszego wejrzenia. Większość lasów porastających te tereny to lasy sosnowe. Charakterystyczne, że brak w nich było krzaków tak pospolitych w lasach w innych częściach Polski. Dzięki temu grube pnie sosen wyglądały niczym kolumny w katedrze. Pomędzy tymi kolumnami można było swobodnie wędrować po miękkich dywanach z mchów bez konieczności przedzierania się przez krzaki czy zarośla. Od czasu do czasu trafiało się na jezioro. Nie było na nim – jak dziś - dziesiątek jachtów, łódek czy motorówek. Nie było wędkarzy. Panował spokój oraz śpiewy ptaków. W bardzo wielu miejscach taki charakter tych lasów pozostał do dziś, czego najlepszym przykładem jest Puszcza Piska. Ale obok nich ciągnęły się również zaniedbane pola i dziczejące łąki. W latach, o których piszę, Mazury były poprzecinane dość rzadką siecią dróg, wykonanych oczywiście przez Niemców. Na ogół były one wąskie, utwardzone brukiem lub kostką granitową. Niektóre, główne miały nawierzchnię z asfaltu. Wzdłuż tych traktów rosły najczęściej drzewa, co samym drogom dodawało uroku. Miało się wrażenie podróży niekończącymi się alejami parkowymi. Równoległe do utwardzonej nawierzchni szosy biegły wydeptane do niebywałej twardości piaszczyste ścieżki służące pieszym lub rowerzystom. Drogi były najczęściej puste. Nie było ludzi, nie było samochodów, więc nie było komu z nich korzystać. W gorące, letnie dni przyjemnie było iść w cieniu drzew ciesząc się spokojem i ciszą.

Na takich właśnie Mazurach obozowałem trzy razy z „Czarną Jedyńką”. Jeździliśmy jakimiś zdezelowanymi rozpadającymi się autobusami. Ponieważ obozy zakładane były w miejscach mało dostępnych, ostatni kilometr lub dwa pokonywaliśmy piechotą, dźwigając całe wyposażenie obozowe. Opowiem o jednym z takich obozów nad jeziorem Wągieł.

Wągieł to typowe jezioro rynnowe, polodowcowe. Ma kształt wydłużony i bardzo urozmaiconą linię brzegową. Dużo na nim zatoczek i półwyspów. Brzegi po części są pokryte lasem, a po części są to pola uprawne i łąki. W czasach gdy je poznałem, pół prawie nie było, były za to to nieużytki pokryte chwastami i krzakami. Jezioro jest położone wzdłuż szosy prowadzącej z Mrągowa do Piecek i dalej do Rozóg lub do Szczytna. Wtedy szosa była utwardzona trochę brukiem a trochę dziurawym asfaltem. Nasz obóz położony był na jednym z półwyspów na brzegu przeciwległym do szosy. Namioty rozbiliśmy w lesie sosnowym. Były to wojskowe namioty dziesięcioosobowe. W każdym z nich mieszkał jeden zastęp. Prycze robiliśmy sobie sami. Wbijało się osiem pali w ziemię. Do nich, od góry mocowaliśmy ramę drewnianą i na tej ramie z mocnego sznurka plotło się rodzaj siatki. Cała konstrukcja wykonana była z żerdzi sosnowych, wycinanych samodzielnie w lesie, z drzew wskazanych przez leśniczego. Na tę sznurkową siatkę kładliśmy sienniki wypchane sianem lub słomą wyproszoną lub kupioną u najbliższego gospodarza. Sianem wypychało się również tzw. wsepę na poduszkę, zabraną z domu. „Najbliższego” oznaczało przejście z wypchanym siennikiem około trzech kilometrów. Za przykrycie służył koc i już spanie

było gotowe. Zaletą takiego „łóżka” było przede wszystkim to, że spało się w zapachu łąki. Siano w poduszce i sienniku dawało aromat, jakiego próżno szukać na najwygodniejszych łóżkach, najlepszych hoteli tego świata. Oczywiście, z czasem siennik się wygniatał, pupa wpadała w powiększające się oczka sieci sznurkowej, ale nigdy przedtem ani potem nie miałem takich luksusowych warunków spania. Szczególnie, że po każdym dniu pełnym wrażeń byliśmy bardzo zmęczeni. Tuż obok głównego obozu budowaliśmy kuchnię oraz magazyn żywności. Posiłki dla całej drużyny gotował każdy zastęp po kolei. Gotowało się w wojskowych kotłach o bardzo dużej pojemności tak, aby starczało dla wszystkich. Kuchnie opalane suchym drewnem zbieranym w lesie dymiły niemilosiernie. Gdy dyżur kuchenny wypadał na mój zastęp zakładałem maskę pływacką na twarz, chroniącą oczy i nos. Dzięki niej oczy nie łzawiły i oddychając od czasu do czasu ustami można było w tej kuchni wytrzymać. Zaleta zaś była taka, że w promieniu 50 metrów nie było ani jednego komara czy muchy.

Osobliwością dla dzisiejszych skautów, przyzwyczajonych do wszelkich wygod, była „jadalnia”. Stanowił ją wykopany rów o głębokości około 60 centymetrów i szerokości około 50. Rów był w kształcie koła o średnicy ośmiu – dziesięciu metrów. Korzystanie z owego „stołu” polegało na tym, że siadało się z menażką na trawie, spuszczało nogi do rowu, którego przeciwległy brzeg stanowił blat. Do takiego stołu mogła zasiąść cała drużyna, tj. około 40-50 harcerzy. Oczywiście było przyjemnie jeść przy takim „meblu”, gdy była ładna pogoda. Gdy padało, każdy zastęp z jedzeniem pobranym w kuchni chował się do swojego namiotu. Samo gotowanie nie było wielkim kłopotem, no może z wyjątkiem obierania kilogramów kartofli. Gorzej było z myciem kotłów, na ogół zatłuszczonych i zasmolonych. Nie znane były nam wówczas żadne „Ludwiki”, „Pury” czy inne środki do zmywania naczyń. Dwóch chłopaków brało kocioł, dźwigało go nad jezioro i tam zwykłym piaskiem i kawałkiem szmatki lub po prostu gołą ręką szorowało do czysta. Trwało to długo, ale wreszcie kocioł lśnił jak nowy. Wystarczyło opłukać i gar wracał do kuchni.

Z kuchnią nad jeziorem Wągieł kojarzą mi się dwa produkty, których potem nigdy już nie kosztowałem. A szkoda. Otóż w jakiś sposób nasza drużyna otrzymała – sam nie wiem skąd – solone masło w beczce dwustu litrowej i kartony granulowanej, rozpuszczalnej herbaty. Były to produkty amerykańskie, co samo w sobie stanowiło nie lada sensację. Masło bardzo mi smakowało i do dzisiaj lubię sobie czasami posolić kromkę chleba z masłem. Zaś herbata była bardzo wygodna w użyciu. Wystarczyło do kubka wsypać łyżeczkę granulatu, do tego wlać zimnej wody z jeziora i już „ice-tea” była gotowa. Daleko jej było do aromatu prawdziwej herbaty, ale smak był naprawdę jedyny w swoim rodzaju i bardzo przyjemny. A wodę z jeziora można było pić, bo nie miał jej kto zanieczyszczać.

Na obozy i biwaki każdy jeździł z osobistym wyposażeniem, na który składały się rzeczy z demobilu. Mieliśmy plecak w postaci wojskowego tornistra z bokami usztywnionymi sklejką. Mieściły się w nim rzeczy osobiste i ubranie. Do plecaka

specjalnymi trokami przymocowany był zrolowany koc. Rolowanie to była nie lada sztuka i uczyłem się go wiele dni. Koc w takiej postaci musiał mieć kształt cienkiego walca o idealnie równej średnicy i jak największej twardości. Dziś z całą pewnością nie potrafiłbym wykonać takiego rolowania. Oprócz tego na wyposażeniu harcerza była saperka, czyli krótka łopatka oraz manierka, menażka i tak zwany niezbędnik czyli składane w jedną całość łyżka, widelec i rodzaj noża. Dziś takie niezbędniki można kupić w sklepach podróżniczych. Manierka w pokrowcu z grubego wołoku służyła do przenoszenia napojów i była mocowana na pasie przy mundurku. Menażka mocowana była do plecaka. Składała się z dwóch części: jedna do zupy a druga do drugiego dania. Dodatkowo każdy z nas miał tak zwany płaszcz-pałatkę czyli rodzaj długiej peleryny z nieprzemakalnego brezentu, która po pewnych zabiegach mogła służyć do skonstruowania pojedynczego, prymitywnego namiotu. Był to „wynalazek” radziecki używany przez Armię Czerwoną w trakcie całej drugiej wojny światowej oraz długo po niej. Całe wyposażenie ważyło około siedmiu kilogramów i było dość ciężkie jak na możliwości 15 letnich dzieciaków.

Centralnym punktem w obozie było miejsce, w którym stał maszt z flagą obozową i proporcem drużyny oraz ognisko. Codziennie rano po pobudce, ustawialiśmy się zastępami dookoła masztu, a najbardziej zasłużony z poprzedniego dnia harcerz miał zaszczyt podniesienia flagi. Był to sygnał do rozpoczęcia obozowego życia. A życie to składało się z rozmaitych gier i szkoleń. Najbardziej popularnymi były tak zwane marsze na azymut, czyli poruszanie się w terenie z kompasem i odnajdywanie rozmaitych punktów zgodnie ze wskazówkami mapy. Było to dosyć trudne, bo punkty były poukrywane sprytnie przez naszych instruktorów. I do tego, na ogół, w lasach.

Innym ciekawym zajęciem było zdobywanie sprawności. Tych sprawności było około osiemdziesięciu. Za każdą zdobytą otrzymywało się okrągłą płócienną odznakę z odpowiednim symbolem, która mocowało się na prawym rękawie munduru. Byli szaleńcy - rekordziści, którym brakowało miejsca na te odznaki na rękawie. Ja kilka z nich zdobyłem, ale szczerze mówiąc nie przywiązywałem do ich ilości specjalnego znaczenia. Największym szacunkiem cieszyli się posiadacze sprawności „Trzy Pióra”. Aby ją zdobyć należało: jeden dzień nic nie jeść, jeden dzień nic nie mówić (ani jednego słowa!) i jedną noc spędzić głęboko w lesie zupełnie samemu mając jedną zapałkę, nóż i wspomniany już płaszcz-pałatkę. Kolejność prób była dowolna. Ważne było, żeby wszystkie wypełnić. Próbowałem zdobyć tę sprawność na każdym z trzech obozów i za każdym razem nie wytrzymałem przy próbie milczenia. To było niesłychanie trudne nic nie mówić, będąc cały dzień w otoczeniu kolegów, którzy – jak to młodzi chłopcy – gadali bez przerwy. Ciekawostką dla dzisiejszej młodzieży może być fakt, że to milczenie obowiązywało nawet w sytuacji przebywania samemu. Teoretycznie można by było pójść do lasu i głośno rozmawiać z mchami i drzewami. Przecież nikt nie słyszy. Ale byliśmy wychowywani w takim poszanowaniu dla zasad postępowania harcerskiego, że nikomu do głowy by nie przeszło

takie oszustwo. Tak też zwykle usiłowania zdobycia owej sprawności kończyły się na próbie milczenia. Wracał biedak z lasu czy z jeziora i przyznawał się, że nie wytrzymał i powiedział słowa albo dwa na głos. Ale zabawa ze sprawnościami była przednia i wszyscy się nią bawili. Większość z nich wiązała się ze skautingiem, który dziś nazywają survivaliem czyli sztuką przetrwania. Pisząc te słowa zajrzałem do Wikipedii aby sprawdzić jak dziś wyglądają sprawności harcerskie i zrobiło mi się smutno. Nie mają one wiele wspólnego z tamtymi, naszymi. Nie wymagają do zdobycia odwagi, jakiegoś rodzaju poświęcenia, solidarności z kolegami. To po prostu pewne umiejętności życia codziennego, które i tak każdy wcześniej czy później zdobędzie. Do tego wiele sprawności w Związku Harcerstwa Rzeczypospolitej wiąże się ze sferą religijną, co ociera się już o zbieranie podpisów księdza na karteczce przed Pierwszą Komunią.

Najświętszym przedmiotem każdej drużyny harcerskiej był jej własny proporzec. Nie inaczej było w Czarnej Jedyńce. Pilnowaliśmy go jakby był ze szczerego złota. I nie bez powodu. Bowiem kolejną harcerską zabawą i to znakomitą były próby wzajemnego wykradania proporców przez harcerzy z obcych drużyn, o ile ich obozy znajdowały się w pobliżu. Problem polegał na tym, że proporca nie wypadało po prostu zdjąć całkiem z masztu i schować gdzieś w namiocie. Musiał przez cały okres trwania obozu znajdować się na maszcie. Wieczorem opuszczany, rano podnoszony na wierzchołek nie mógł opuścić linki do której był przymocowany. Dlatego też posterunek wartowniczy przy maszcie był najważniejszy. O ile dobrze pamiętam naszego proporca nikomu nie udało się wykraść, choć wiem, że kilka takich prób było podejmowanych. Odzywał się wtedy gwizdek wartownika i ze wszystkich namiotów wybiegali chłopcy z wrzaskiem przeganiając napastników. Nie muszę dodawać, że historie takie zdarzały się najczęściej w nocy, co sprawie nadawało dodatkowy dreszczyk emocji. My natomiast wykradliśmy proporzec drużynie harcerzek obozującej około dwóch kilometrów od nas. W nocy dwie grupy z Czarnej podkrały się cichutko pod ich obóz. Jedna z tych grup narobiła trochę szumu w lesie, co sprowokowało wartowniczkę do chwilowego opuszczenia posterunku przy maszcie. Potem wystarczył szybki skok z grupy drugiej, cięcie nożem i już proporzec był w naszych rękach. Porwanie proporca to był ogromny wstyd dla jego właścicieli. Długo potem krążyły legendy o takich historiach. Oczywiście wracał na swoje miejsce po wykupieniu go przez uszkodzony obóz. Na ogół były to dwie skrzynki obrzydliwej oranżady z wiejskiego sklepu lub coś podobnego. Do tego czasu ukradziony proporzec powiewał dumnie na maszcie jego zdobywców.

Obóz nad jeziorem Wągiel położony był na półwyspie po jego wschodniej stronie. Po zachodniej stronie biegła szosa, która w pewnym miejscu dotykała niemal jeziora. Takie produkty jak chleb czy ziemniaki kupowaliśmy w Pieckach, małej wiosce położonej na południe od jeziora. Aby się do niego dostać należało przepłynąć wszerz jezioro i wyjść na szosę. Potem już tylko 3 km piechotą i można było robić zakupy, np. w miejscowej piekarni.

Do tego rodzaju komunikacji na wodzie służyła nam przekazana przez wojsko DSŁ czyli „desantowa składana łódź”, radzieckiej oczywiście produkcji. Miała dość pokraczny kształt i składała się siedmiu elementów połączonych grubym fartuchem gumowym. Łódź zabierała do 10 ludzi lub odpowiednią ilość towarów. Po zakupy zwykle płynęło trzech harcerzy z workami. Ciekawym doświadczeniem był zakup świeżego mleka. W odległości około półtora kilometra na północ od obozu było gospodarstwo rolne. Gospodarz hodował kilka krów i chętnie sprzedawał nam mleko. Były tylko dwa problemy. Pierwszy, że do owego gospodarstwa trzeba było płynąć wzdłuż brzegów jeziora kajakiem. Drugi to ten, że gospodarz mówił tylko... po niemiecku. Był po prostu Niemcem, który po przegranej wojnie nie chciał opuścić swojego gospodarstwa. Uczył się wprawdzie polskiego, ale ze smarkaczami, jakimi w końcu byliśmy nie chciało mu się używać tego języka. Mówił po swojemu i tyle. Dwa razy miałem „mleczny” dyżur i płynąłem kajakiem te półtora kilometra. To było nawet przyjemne. Wstać musiałem bladym świtem. Brałem 20 litrową bańkę wsadzałem do kajaka i w drogę. Na wszelki wypadek płynęło się blisko brzegu, często pomiędzy wysokimi trzcinami. A ponieważ było to tuż po wschodzie słońca to cała przyroda budziła się do nowego dnia. Toteż obserwacji było bez liku. Ptaki, żabki, ryby można było podziwiać bez żadnych przeszkód. Idealny spokój i cisza jeziora, jakiej dziś próżno szukać na zatłoczonych Mazurach. Po przybyciu do gospodarstwa oddawałem bańkę gospodarzowi a po kilku minutach dostawałem ją pełną mleka. Praktycznie bez słowa. Sprawa zapłaty za mleko była załatwiona przez drużynowego na samym początku obozu, więc nie musiałem się tym zajmować. Brałem bańkę do kajaka i ruszałem w drogę powrotną.

Nieodłączną atrakcją każdego obozu z Czarną Jędynką były wieczorne ogniska. Wyznaczony, dyżurny zastęp po południu wybierał się na zbieranie chrustu, czyli suchego drewna. Niestety, w przypadku obozu nad Wąglętem z chrustem sprawa wyglądała kiepsko. Po naszej stronie jeziora lasu było niewiele, przeważały łąki i nieużytki. Dlatego trzeba było wyprawać się po niego na drugą stronę. Tam za drogą znajdował się duży kompleks leśny i materiału na ognisko było pod dostatkiem. Przewoziło się go naszą łodzią. Wyglądało to komicznie a czasem groźnie. Łódź z czterema harcerzami była wyładowana chrustem na wysokość około półtora metra. Dwóch chłopców wiosłowało a dwóch siedziało na szczycie tej wieży, bo gdzie indziej nie było miejsca. Każdy ich ruch powodował przechylenie łodzi. Ale jakoś zawsze się dopływało do obozu. Z jednym wyjątkiem, kiedy to na środku jeziora odzepiły się blokady burt i składana łódź zaczęła się nagle składać! Do wody wpadł cały zbiór suchych gałęzi ale załoga jakoś łódkę złożyła, zabezpieczyła i bezpiecznie dopłynęła do brzegu.

Ogniska obozowe miały swój niezapomniany nastrój. Siedzieliśmy dookoła ognia a wyznaczony chłopak dbał, aby płomień nie zgasł. To właśnie w czasie tych ogniskowych posiadów uczyliśmy się prawdziwej historii Polski. Nie zakłamaną przez socjalistyczne władze, ale takiej jakiej nie mogli przekazać nam nasi nauczyciele w szkole.

Snuły się opowieści o Powstaniu Warszawskim, o Polsce przedwojennej, o mordzie dokonanym przez Rosjan w Katyniu. A także o naszych miastach, które odebrał nam Związek Radziecki, takich jak Lwów, Wilno, Kowno. Byliśmy bardzo, bardzo młodzi, ale czuliśmy jakoś podświadomie, że tam przy tych ogniskach jesteśmy naprawdę wolni. Że nie ma wśród nas donosicieli, że wszyscy myślimy podobnie, że to jest nasz azyl. Byliśmy nawet dumni. To była nasza prawdziwa „Czarna Jedyńka”, jedyna taka drużyna harcerska w Polsce! Uczyliśmy się piosenek powstańczych, których próżno było szukać w radio czy na oficjalnych uroczystościach... Patrząc na tamte momenty z perspektywy moich 74 lat zdaję sobie sprawę, że była to – co tu dużo mówić - indoktrynacja młodych ludzi. Tyle, że z niezwykle patriotycznych pozycji. Wiele z owych „ogniskowych” nauk nie wytrzymało próby czasu. Wiele, wówczas uważanych za niepodważalne prawdy, doświadczenie życiowe oraz wiedza wyniesiona z późniejszych lektur mocno skorygowała. Ale w żadnym wypadku nie żałuję tamtych godzin spędzonych przy ognisku. Pozwoliły mi one na inne spojrzenie na kraj w którym żyłem. Naładowały mnie energią na przyszłe, trudne lata w socjalistycznej Polsce. Były niczym pancierz chroniący przed kłamstwami, przeinaczeniami, zmyśleniami, całą paranoją oficjalnej partyjnej propagandy. Wydawało mi się, że jestem fragmentem jakiejś intelektualnej elity społecznej. Że wiem i przeżywam więcej niż inni.

Te codzienne ogniska kończyły się w bardzo malowniczy sposób. Oto płomienie nie podtrzymywane już nowym opałem powoli gasły. Otoczenie rozświetlone dotychczas ogniem palącego się drewna powoli zamieniało się w gęsty mrok. W kręgu pozostawał już tylko żar jarzący się tysiącami błysków i pełgających płomyczków. Staliśmy dookoła, a dwóch z nas kijami układało z tego żaru kształt harcerskiego krzyża. I gdy już migocący krzyż był gotowy trzymając się za ręce śpiewaliśmy harcerski capstrzyk:

„Idzie noc, słońce już  
Zeszło z gór, zeszło z chmur.  
W cichym śnie spocznij już,  
Bóg jest tuż, Bóg jest tuż, Bóg jest tuż...”

A potem rozchodziliśmy się do namiotów, zaś przy ognisku pozostawała tylko warta. Żegnał nas księżyc i niebo rozświetlone gwiazdami oraz nocna cisza mazurskich łąk.

Tradycja codziennych ognisk towarzyszyła nam na każdym z obozów. I były to chwile, które do końca życia pozostaną w mojej pamięci.

Na obozie nad jeziorem Wągieł ustanowiłem swój rekord życiowy, którego już nigdy potem nie pobiłem. A było tak, że pewnego dnia dwa zastępy postanowiły zwiedzić słynny bunkier Hitlera zwany Wilczym Szańcem, położony niedaleko Kętrzyna. Właściwie jest to cały, duży kompleks betonowych bunkrów i umocnień ziemnych stanowiących doskonałą fortyfikację. Miała ona umożliwić Hitlerowi bezpieczne dowodzenie niemieckimi armiami atakującymi Związek Radziecki w roku 1941. Ściany głównego bunkra stanowił pancierz stalowy o grubości 60 cm pokryty betonem grubości 3,5 metra. Całość otoczona



była dwoma liniami zasieków z drutu kolczastego pomiędzy którymi znajdowały się pola minowe. Opuszczony przez Hitlera i jego sztab w listopadzie 1944 roku, dostał się w ręce atakujących wojsk radzieckich w styczniu 1945 roku bez jednego wystrzału. Początkowo Rosjanie planowali wyburzenie całego kompleksu, ale po kilku próbach wysadzenia w powietrze okazało się, że plan taki przekracza możliwości saperów radzieckich. Postanowiono więc, że pozostawi się Wilczy Szaniec, jako pamiątkę II Wojny Światowej i udostępni zwiedzającym. I tak zostało do dzisiaj. Taki to rodzaj zabytku chcieliśmy zwiedzić, aby uzupełnić wiedzę o wojnie, zdobytą na ogniskowych pogawędkach. Do Kętrzyna udało nam się dostać zatrzymując jakąś ciężarówkę, której uprzejmy kierowca zgodził się nas podwieźć do samego miasta. Dalej poszliśmy pieszo do wsi Gierłoża, gdzie znajdował się słynny bunkier. Zwiedzanie zajęło nam sporo czasu i ani żeśmy się spostrzegli, gdy zaczął zapadać zmrok. Przypominam, że nie było wtedy rozwiniętej komunikacji międzymiastowej. Prawdę powiedziawszy, jeździły wtedy na interesującej nas trasie powrotnej może dwa zdezelowane autobusy dziennie. W ogóle ruch samochodowy na terenach Mazur był znikomy. Pozostał zatem problem: przenocować gdzieś na łące pod naszymi pałatkami czy iść w kierunku obozu licząc, że trafi się po drodze jakiś samochód, który nas podwiezie. Byliśmy w niemal pełnym rynsztunku, z plecakami, manierkami, saperkami, natomiast bez kocy, które zostały na pryczach w obozie. Postanowiliśmy iść piechotą. I tak w ciągu całej nocy przeszliśmy 45 kilometrów. Szliśmy rzędem, poboczem szosy, mijając Kętrzyn a potem Mrągowo. Co godzinę robiliśmy postój. Oczywiście nie spotkaliśmy ani jednej ciężarówki, która mogłaby nam pomóc. Nad ranem dotarliśmy do brzegów naszego jeziora i zaczęliśmy wzywać wartowników, aby przysłali po nas łódź. Byłem tak zmęczony, że na stojąco usypiałem. Już nigdy potem nie zdarzyło mi się przejść piechotą w ciągu jednej nocy lub dnia takiego dystansu.

Podobnie traumatyczną przygodę przeżyłem na kolejnym obozie harcerskim, tym razem nad jeziorem Gim. Byłem już wtedy zastępowym, co dawało mi prawo noszenia brązowego sznura na mundurze, ale również kazało być odpowiedzialnym za ośmiu chłopców z mojego zastępu. Pewnego dnia mieliśmy zabawę polegającą na marszu z kompasem i mapą. Tak zwany marsz „na azymut”. Mieliśmy swoje zwykłe wyposażenie, tym razem pełne, z kocami zrolowanymi na plecaku a nawet saperkami przy pasach. Trochę suchego prowiantu...i w drogę. Niestety nasze mapy to były przedwojenne poniemieckie sztabówki<sup>1</sup>. Innych być nie mogło, bo przecież byliśmy na terenach należących przez setki lat do państwa niemieckiego. Sześć lat działań wojennych zmieniło układ dróg, punkty orientacyjne takie jak domy, kapliczki, czy linie energetyczne. Do tego jedyny kompas, jaki mieliśmy zwariował i pokazywał wszystkie strony świata naraz. Igła kręciła się jak oszalała i nic nie można było odczytać. Nic więc dziwnego, że po kilku godzinach

---

<sup>1</sup> Mapa wojskowa w skali 1:1000 używana kiedyś przez armie niemal wszystkich państw.

całkowicie się pogubiłem. Do tego stopnia, że kompletnie nie wiedziałem, gdzie się znajduję. Szliśmy po prostu przed siebie duktami leśnymi w kierunku, który – jak mi się wydawało – powinien prowadzić w kierunku naszego obozu. W tamtym czasie kompleksy leśne tych obszarów były wyludnione i przez cały dzień nie spotkaliśmy nikogo na naszej drodze. Tymczasem zbliżał się wieczór a mój zastęp był coraz bardziej zmęczony i coraz bardziej bliski paniki. Robiłem cuda, żeby uspokoić chłopców, ale z każdym kwadransiem było trudniej. Można to sobie wyobrazić. Ogromny las, szum drzew, zmrok otulający wszystko dookoła i dziewięciu piętnastolatków nie wiedzących, w którą stronę się ruszyć. Zdecydowałem, że spędzimy noc w lesie. Z naszych pałatek sklecilśmy dwa namioty pokryte gałęziami świerków, zjedliśmy resztki zapasów i próbowaliśmy usnąć. Nie pamiętam czy nam się to udało, czy nie. Ja nie spałem, bo całą noc myślałem jak wyprowadzić zastęp z tego piekielnego lasu. Rano zwinęliśmy obozowisko i ruszyliśmy w dalszą drogę. Po kilku kolejnych godzinach, nagle wyszliśmy na polanę i zobaczyliśmy przed sobą wioskę. Okazało się, że doszliśmy do miejscowości Rybaki nad jeziorem Łańskim. Byliśmy bardzo zmęczeni i głodni. Gospodarz – Polak dał nam trochę chleba, mleka i pozwolił odpocząć w stodole na sianie. Chcieliśmy zawiadomić dowództwo naszego obozu, które musiało się już bardzo o nas niepokoić. Przecież nie wróciliśmy na noc. W terenie, gdzie mogły się zdarzyć różne naprawdę groźne przygody. Jednak nie było jak dać znać, że żyjemy i nic nam się nie stało. Telefonu w wiosce nie było. Zresztą nie byłoby gdzie zatelefonować, bo w obozie też nie mieliśmy telefonu. Była tylko stara wojskowa radiostacja RBM, tak na wszelki wypadek, gdyby sytuacja była naprawdę poważna. Mogliśmy się przez nią łączyć z posterunkiem milicji w Butrynach. O ile tam ktoś z milicjantów przy swojej radiostacji był. Rano nasi dobrzy gospodarze przygotowali nam śniadanie i dokładnie wytłumaczyli jak mamy iść, aby dojść najkrótszą drogą do jeziora Gim. Tym razem mapy zostały schowane, bo okazało się, że zamiast nam pomagać wprowadzały w błąd. Potem, już po powrocie do obozu sprawdziliśmy naszą trasę i okazało się, że krążyliśmy dookoła jeziora Łańskiego. Bo tak naprawdę w linii prostej wioska Rybaki była zaledwie pięć, może sześć kilometrów od naszego obozu. Wynika z tego, że wędrując cały dzień musieliśmy chodzić prawie w kółko. Tak czy owak już około wczesnego popołudnia, korzystając ze wskazówek wróciliśmy do obozu. Ku radości kolegów, którzy już zdążyli zawiadomić milicję w Butrynach.

Po tej niemiłej przygodzie na wiele lat pozostał w mojej psychice mocny uraz dotyczący lasu. Te kilkadziesiąt godzin spędzonych w ogromnym kompleksie leśnym, bez świadomości gdzie tak naprawdę jestem i jak mam się z niego wydostać spowodowało, że chodzenie nawet po niewielkich zagajnikach było dla mnie trudne i zdecydowanie niemiłe. Dopiero wiele lat później udało mi się ten lęk przewyciężyć. Ale nawet dziś wchodząc do lasu nie dopuszczam ani na moment do sytuacji, w której nie znałbym na sto procent drogi powrotnej.

Ten incydent nie zmniejszył mojej sympatii dla harcerstwa. Kilka dni temu mój syn Paweł przyniósł z mieszkania na Dolnej, do którego się wyprowadził, moją starą raportówkę z harcerstwa. A w środku znajdowała się stara czapka harcerska z lilijką, która pamiętała wszystkie przygody. Mam prawie 74 lata, więc czapka przeleżała gdzieś w pawlaczu swoje 55 lat. I gdy wziąłem ją do ręki wróciły te najpiękniejsze wspomnienia tamtych młodych lat. To było prawdziwe wzruszenie i wdzięczny jestem synowi, że pomyślał, iż nie wolno wyrzucać takich pamiątek.